

Wojciech Stanisławski: Hobbes w kierpcach

„Wyrok” Ishbel Szatraskiej to powieść polityczna: na szczęście nie w najpłytszym znaczeniu pamfletu, lecz w najgłębszym: refleksji nad spoiwami wspólnoty ludzkiej i przyczynami jej rozpadu

Tak, nie byłem wolny od obaw. Nie byłem wolny, pamiętając, że dramato/pisarka rodem z Olsztyna posiada w wielu kwestiach zdecydowane poglądy polityczne (jeden z bohaterów jej „Toni” z 2023 r. dzielnie obchodzi patrole i zakazy Straży Granicznej na pograniczu białoruskim, kariera naukowa Alicji z tejże powieści pokrzyżowana z kolei została przez polskie „obsesje martyrologiczne”). Można też u niej zauważyć pewną predylekcję – może nie do „aktywizmu” *pur sang* lecz do, nazwijmy to, szczypty ostentacji (czy może po prostu wyrazistości) tak dobrze widzianej w ostatniej dekadzie: widać ją w wywiadach dla tytułów tak salonowych jak *Vogue Polska*, ale i w zaangażowaniach, słyszalnych w trzepocie biograficznego skrzydełka (książki).

Przeczytawszy więc w zapowiedziach wydawniczych, że akcja „Wyroku” toczy się pod koniec wojny na Podhalu, że w grę wchodzi zbrojni i przemoc – niewiele mogłem poradzić na przypuszczenie, że najnowsza powieść Szatraskiej wpisze się w żywy ostatnio nurt „drugiej dekonstrukcji” powojennej partyzantki niepodległościowej. To temat, szczególnie w przypadku Podhala i „Ognia” wymagający aptekarskiego ważenia racji, uwzględniania wszystkich kontekstów – albo błyskotliwego sztychu, który przyszpiliłby, jakby ktoś smakowity

szaszłyk sporządzał, toksyczną męskość, skrajną przemocowość, zwierzęcy antykomunizm i zoologiczny antysemityzm w jednym kęsku fabuły.

Przeczytaj również: Felietony Wojciecha Stanisławskiego

Męskości we wszystkich jej negatywnych odcieniach – od pospolitego *machismo*, przez bluzg, przez zapamiętanie w przemocy, po zakochanie tak desperackie, tak rozpaczliwe i pozbawione nadziei, aż pchnie w stronę zniszczenia źródła cierpień – w „Wyroku” nie brakuje. Jest to jednak proza wysokiej jakości (podobnie zresztą, jak w przypadku „Toni”) i wolna od pospolitych wycieczek. Owszem, zanurzona w rzeczywistości historycznej, ale wychodząca poza nią w stronę moralitetu.

„Wyrok” od pierwszych stron zresztą wyzwala nas od obaw przed prostą „prozą historyczną”, pograżając niby-rozpoznawalne realia w gęstej, konfundującej mgle. Począwszy od topografii: skoro pojawiają się hale, a w dalszej części książki również regle i redyki, owcze i baranie skóry na handel – no tak, to raczej Podhale, gdzie indziej redyków nie uświadczysz. Ale – niegóralskie jakoś to Podhale: Tomaszków, Dobra Wieś, Łazisko... Takie wsie można znaleźć w każdym powiecie z wsiami. Jak na pocieszenie pojawiają się ogólnobeskidzkie Kiczera i Szczawno, zwodniczo miga Klimontowa, ściągnięta tu aż z Gór Świętokrzyskich.

Nie inaczej z „realiami” i z terminologią: owszem, akcja toczy się w dolinach i na stromiznach porośniętych przez cisy, lawiny schodzą po stokach – podgórskich, lecz przecież niekoniecznie podhalańskich. Podobnie z karczmami i chałupami, gazdami i parobkami. Ba, nazwiska jawią się jako „ogólnochłopskie”, a czasem i to nie: Pierończyk i Gęśla

mogą być z gazdów, ale i z dólskich, Ostapkowa – najpewniej pochodzi, po ojcu, z pogranicza rusko-polskiego, Szura – to i bliżej Dniestru się mógł rodzić, a Strzeleckich, choć narratorka zastrzega się, że to z miejscowych, naprawdę trudno znaleźć gdzie indziej niż w miastach.

Oczywiście – nie piszę tego, żeby zarzucać Szatrawskiej niedostatek *couleur locale*, poskąpienie rekwizytów: białego misia, *łowcarka*, parzenic, Giewontu, a w wersji nieco bardziej dopracowanej – gomółek sera z kminkiem, smrodu, kierpców, żętycy i dającej miły polityczny dreszczyk swastyki, wyciosanej niezdarnie na sosrębie („Roku Pańskiego 1932”). Nie, ze zbyt dobrą pisarką mamy do czynienia: to rozmycie, ta umowność zasugerowanego tylko Podhala jest w moim przekonaniu całkiem świadoma: „Wyrok” miał być w pewien sposób przypisany do konkretnego miejsca, miał może i uruchamiać u niektórych czytelników, jak mnie się to zdarzyło, asocjacje z kurierami, może i z „Ogniem” i Goralenvolkem – lecz zarazem powinien opowiadać o wsi możliwie luźno osadzonej gdzieś na Pogórzu: biednym aż piszczy, lecz z silną stratyfikacją społeczną, pobożnym, opuszczanym przez Niemców dopiero na przedwiośniu ’45 roku. Czy Soła, która szumi w tle gorączkowej wędrówki bohaterów, nie wypływa czasem prosto z „Sennika współczesnego” Tadeusza Konwickiego, gdzie zlewała się aż z Wilią?

W przekonaniu, że tak jest, utwierdza mnie język powieści: dialogów, narracji, monologów wewnętrznych i wspomnień obu pierwszoplanowych bohaterów. Język od początku brutalny, twardy, nieokrzesany nawet – ale w żadnym razie nie góralski. Co w nim chłopskiego („bierzem”, „rachuje”, „połakomi” – nawet „słaźzebym”, nawet „juści” i „ino”) – to ludowość dólska, nizinna, a i to – trochę ceremonialna, trochę z polorem i odświętna: tak mówić mogli zamożni

gospodarze podkrakowscy w czasach „Wesela”, a może raczej – ich synowie po miejskich szkołach, którym czasem tylko „ino” wymknęło się w pocie, przy wódce, w lęku. Ale tej prząsności wiejskiej jest w dialogach „Wyroku” znacznie mniej niż twardego języka podmiejskiego, kutego na cztery nogi półświatka: to z języka doświadczonych wojną andrusów są „kuglarki” i „dewoty”, „udry” i „psy gończe”: jeśli to Podhale, to przerysowanie bandyckie, takie, po którym grasują bohaterowie Józefa Hena i Sergiusza Piaseckiego. Podhale, gdzie zresztą pewni są tylko Niemcy vel szkopy – to, co ich wypiera to „tamci”, „drudzy”, „front”.

Im bliżej końca książki, tym bardziej ten język hula, pozwala sobie na więcej: w ustach gaździny pojawia się okrzyk „wot!”, choć sowieli nie dotarli jeszcze nad Sołę, miejscowy starzec mówi coś o „negocjacjach”, a z boku dopływają frazy zupełnie już współczesne, z serialu kryminalnego („kasa jest kasa”, „knajacki splendor”), obyczajowego („stopa z pewnością do amputacji”) lub prozy z pretensją do turpizmu („szlak jak pokryty egzemą”). Powtarzam: to nie słabość, nie utrata kontroli nad wokabularzem. Zdania-hybrydy, w których ironiczna archaizacja skleja się z potoczną polszczyzną połowy wieku („Dokąd bieży twoja myśl, bracie, dokąd niosą cię nogi?) służą jednemu: oderwaniu nas, czytelników, od konkretów (moskole, baranina), których chwyciliśmy się na pierwszych stronach. Podhale jako figura Odwiecznego Narodu: czy nie czegoś podobnego próbował Michał Łuczewski, pisząc słynną książkę pod tym tytułem o (limanowskiej) Żmijce?

Język jest ważnym narzędziem i wskazówką, Szatrawska panuje nad nim podobnie jak nad rozwojem akcji: wtrąciwszy nas w tryb marszobiegu, truchtu już pierwszym zdaniem („...a! świt pod

powiekami” – dopiero w 18 stron i dobę później dowiemy się, że, jak przystało na rozpadający się świat, „pękał”) – nie zwalnia tempa aż do ostatniej strony. Dwóch ludzi gościńca, bandziorów czasu wojny – Strzelecki i Majda – kołują w granicach jednego powiatu, w zadymce i odwilżowym błocie, w malignie. Ich pościg, chaotyczny, brutalny i błędny, który pokrzyżuje im nie żaden z gazdów, lecz Ananke, staje się coraz bardziej kołowaniem osaczonych zwierząt, błękaniną, odwlekaniem wyroku. Jeśli ktoś ich prowadzi w tym uganianiu się przez młakę, tarninę, wykroty to tylko – na jedwabnych niciach – autorka, która tajemnicę zatracenia jednego z dwóch chochołowych ludzi ujawni na dzień i kwadrans lektury przed końcem: przedtem dawała tylko znaki, niejasne jak alfabet kornika.

„Wyrok” jest najlepszym chyba w ostatnich latach – a konkurencja w tej dziedzinie jest niemała – literackim obrazem zbiorowości przeoranej, spustoszonej przez bezprawie wojny. Doprecyzujmy: nie chodzi o cierpienia i traumę pozostawioną przez okupanta. Tak, Niemcy są obecni w tle i w świeżej pamięci, dowiadujemy się o dokonywanych przez nich egzekucjach, aresztowaniach, Majda i Strzelecki patrzą na spopieloną przez szkopów wieś. Opowieść traktuje jednak – nie da się tu uciec od socjologicznego terminu – nie o wojnie jako takiej, lecz o stanie anomii: o wspólnotcie, której odebrane zostało prawo stanowione i lokalne, autorytety i lojalności. „Wcześniej prym wiedli dziedzic i proboszcz z Klimontowej, ale ich położenie traciło swą ważność z każdym dniem”. Można czytać „Wyrok” jako fabularyzację pracy historycznej, która przez tuzin lat stała się klasyką, czyli „Wielkiej trwogi 1944-1947” Marcina Zaremby: rekwizycje, rabunki i haracze, tortury i egzekucje, przekupstwa i donosy stanowią codzienność, w której żyją i poruszają się, bez zdziwienia, mieszkańcy Księżego Lasu i Dobrej Wsi. Wszechobecność tego braku prawa, tej wzajemnej wrogości jako podstawowej formuły relacji międzyludzkich

odsyła jednak dalej: do „Lewiatana”. Szczególnie do księgi pierwszej, najważniejszej: tej, która przyrównuje serce do sprężyny, nerwy do postronków, stawy do kul i przypomina, że „cokolwiek jest przedmiotem jakiegoś apetytu czy pożądania, to człowiek nazywa to swoim dobrem”.

„Wyrok” jest najlepszym chyba w ostatnich latach – a konkurencja w tej dziedzinie jest niemała – literackim obrazem zbiorowości przeoranej, spustoszonej przez bezprawie wojny.

Ogromnie ciekawa jest to lektura w czasach „zwrotu ludowego” w polskiej humanistyce, ale i literaturze. W opisywanej zbiorowości nie sposób bowiem dostrzec nie tylko

„świadomości klasowej”, która prowadziłyby w stronę nowych form samoorganizacji, ale bodaj i reliktowych form wspólnotowości, „gromady”, która skupiałaby się wokół sobótkowego ognia czy niedzielnego ołtarza. Owszem, w jednej ze scen przez karczmę przeciąga korowód niemal reymontowski – „Krwawe korale. Kubrak kusy. Kołatki klekot. (...) I gęby roześmiane, czerwone. Raz, dwa. W rytm bębna, w ruch tłumu. I końcówka warkocza jakby z łba dziewczki zerwana”. Ale i tak: „Bucha z tej gęstwy męka”: to oniriada, zatracenie, złuda na kwadrans, taka sama, jak ta niesiona w kwaterce gorzałki.

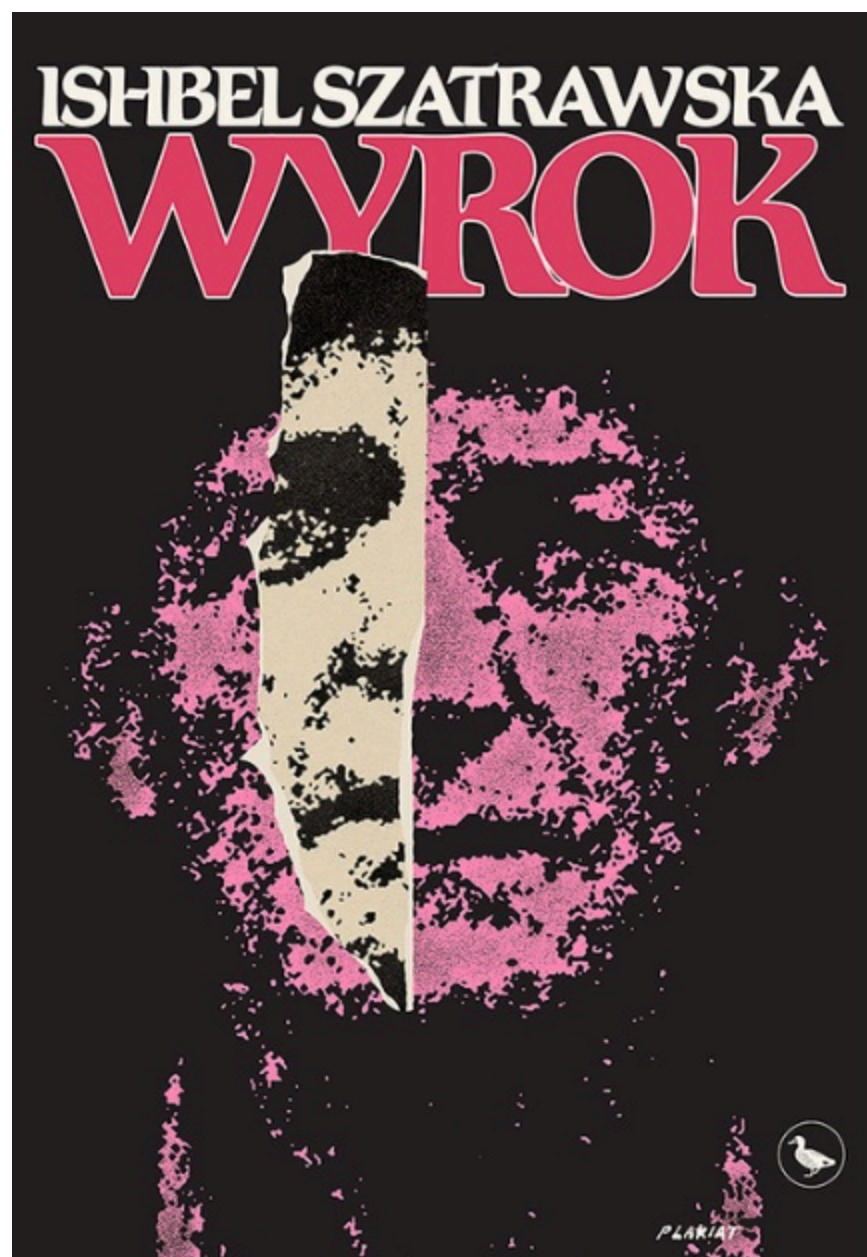
Wieś podhalańska z „Wyroku” jest hobbesowską udręką, bezustanną zachłannością i grabieżą, grą upokorzeń („Starzy gospodarze chełpiący się, patrzący zawsze z góry wzrokiem zbyt znanym”) i dominacji, wiewiórczym kołem parobków-arywistów, którzy nigdy nie wyrwą się

ze swej kondycji pogardzanej, żalostnej, żadnej. Szansą dla nich stała się ta wojna (w tych dolinach dopiero ona zasłużyła na miano „Wielkiej”: tamta, awstryjską starzy wspominają słowami „Tak to nie bywało, nie”) – ale szansą pozorną. Po sześciu latach szekspirowskiego kołowania życiorysów, bandyckiego królowania, odtwarzane są dawne hierarchie, ludzie luźni (i oferujący nielimitowaną, nieotamowaną obyczajem przemoc) nie są już potrzebni: wszystko się zmieniło po to, by – jak w innych, położonych bardziej na południe, ubogich górach – wszystko pozostało takie same.

Żadnego z grzechów głównych nie brakuje Majdzie i Strzeleckiemu, ich zleceniodawcom, patronom i totumfackim, ale tym, który prowadzi ku ciemnej koronie *saligii*, okazuje się – nietypowo – chciwość. „Nie ma w człowieku innej winy. Wszystko, co ma w sercu, chciwość. Nic go przed tym, czego pożąda, nie zdoła powstrzymać, a jak już chwyci i pięść zaciśnie, w pychę popada”. Ta zaciśnięta pięść, ten sękaty kułak kułaka kojarzy się mocno z miejskim, pańskim, chciałoby się niemal rzecz „ojkofobicznym” wizerunkiem chłopca – i nic nie ma wspólnego z czułym pochylaniem się nad chłopkami i autorkami wiejskich pamiętników.

Tym ciekawiej, choć niesprawiedliwie. Jest trochę tak, jakby „Wyrok”, ze swą ambicją odtworzenia czasu wielkiej trwogi i prawdy o naturze ludzkiej, wahał się między wielkowiejską pychą a głębszą, starszą goryczą. O tym, który ton stanie się lepiej słyszalny, zadecydują w znacznej mierze czytelnicy.

Wojciech Stanisławski



Ishbel Szatrawska, „Wyrok”, Wydawnictwo Cyranka, Warszawa, 2025

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
